

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADESLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Być sobą, czy być dla siebie, przez Henryka Lukreca.
Prawo ochronne, przez Ww.
Echa polityczne.
Prowincja (feljeton), przez Leona Choromańskiego.
Wzorowa gospodarka, przez Aspera.
Młode Włochy, przez Kazimierza Wroczyńskiego.

Intermezzo gwałtowne (wiersz), przez Br. Winawera.
Krytyka i sprawozdania. Tajfun (dokończenie), przez J. M. Muszkowskiego.
Remy de Gourmont. Hugues Rebelle, przez A. Nowackiego.
Książki nadesłane do Redakcji.
Kronika.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 72).

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

Być sobą czy być dla siebie.

Najbardziej wrażliwą na nastroje społeczne jest sfera inteligencji. Lecz może najłatwiej, podlega nastrojowi, będącemu wyrazem jasnym i bezpośrednim ideologii sfer wyższych, możnych panów, prawowitych magnatów ziemskich, dziedziców upadłej ojczyzny, pysznych dorobkiewiczów, i pyszałkowatych parwenjuszów — pewnych i zadowolonych z siebie w tym stopniu, w jakim tylko mogą być ludzie „mający pieniądze”. W chwili bieżącej, w czasie wyjątkowo pogrobowym nawet w Polsce, bo obejmującym życie powszechne aż do najgłębiej leżących podkładów we wszystkich dziedzinach — określenie „inteligencja” należeć musi do określeń omalże nie obelżywych. Określenie to wyraża dziś wszystko — prócz ideowości. Jest więc określeniem nicestwa. Przeciętny inteligent współczesny, przerósłszy o głowę swego przodka Polanieckiego z czasów sienkiewiczowskiego szaleńca, — obecnie zapewne nie uzna nawet w literaturze Judyma, Raduskiego i innych w idealizmie zakapturzonych „durniów”, którzy w tak twardej dobie życia, kiedy karjera musi być podstawą bytu — unosić się mogą w przestworach marzenia i subtelnych przeżyć, płynących ze źródeł „zniewieściałości”. Inteligent „z wyższym wykształceniem” zapragnął dziś „być sobą”. „Być sobą” to nie znaczy pograć się w stan rozmyślań nad zagadką zagrożonego bytu narodowego i społecznego, zagadką prowadzącą w głąb finezji filozoficznej i na szczyty pracy intelektualnej.

„Być sobą” nie oznacza też realistycznej prawdy, osiągniętej za cenę drogiej dziś u nas energii mózgo-wo-nerwowej chociażby przez Berenta, który bądź co

bądź współcześnie pozostaje najjaskrawszym wyrazicielem tego stanu istnienia. „Być sobą” w literaturze — to temat „nasenny”, w życiu zaś trzeba „być dla siebie”. Oto treść duchowa dzisiejszego inteligenta.

Ze wszystkich prawd, poruszających naszą inteligencję w okresach panowania czy mody nietszcheanizmu, przybyszewszczyzny jako prądów literacko-filozoficznych, i w okresach rewolucji i reakcji, jako prądów politycznych, — ta reguła filisterji, będąc najbanalniejszą, najbardziej swojską i rodzajową, okazała się najtrwalszą, tak zrosła z istotą szlachecko-plutokratyczną naszej panującej społeczności, że przetrwała w stanie nietkniętym epokę nadciągającej burzy, właściwy skotłowany czas zawieruchy politycznej i dziś ukazuje się w świeżym wydaniu na pogrobowcach twórczych i ideowych wysiłków ery przedrewolucyjnej. I w chwili bieżącej ta panująca reguła z głębi nastrojów społecznych wypływa na powierzchnię literatury i prasy. Głównym warunkiem gnuśnienia akademickiej filisterji, pełzania w przyziemnych przeżyciach t. zw. inteligencji jest spokój, trzeźwość, umiarkowanie. Razi dziś patos, młodzieńczość, entuzjazm. Walka, polemika — to strata energii. Nie przeszkadzajmy sobie, historia kiedyś nas zliczy i oceni! Istotnie, sfera tych przeżyć najgłębszych i najszlachetniejszych, których nie wyczerpie codzienność, wypełniona dziadowskim pragnieniem przetrwania wlokących się godzin, których nie użyżni obecna posucha w sferze wszelkiej twórczości i nie skróci dławiąca współcześnie rutyna i praktycyzm wyrafinowany — jest istotnie tą otchłanią, która nużyć musi warszawskich „Dzwonników”, „Sokolów”, uciekających precz od palących zagadnień bytu, będących jednak głównym motywem pracy ludzi, odczuwających tragedję społeczną, i główną

treścią *dramatów niescenicznych* pisarzy, którzy z obrazów rozpacz i szlochania na rumowiskach narodowych nie chcą czynić płatnego widowiska dla wrażeń ciekawych kamieniczników, obywateli miasta i ziemi, i nowożytnych patrycjuszów z książką czekową w zanadru. Istotnie, inteligencja przeżywa dziś taki stan duchowej bierności, któremu beznadziejnie obce być muszą porwy romantyzmu we wszelkich jego postaciach, niezrozumiałe hieroglify przeżyć „pogrobowca” romantyzmu i szlachetnej bohaterskiej ascezy. Inteligencja ponownie otacza się tajemniczością „tabu”, które zdradziecko przykrywa, jak ktoś się kiedyś wyraził,—zgniliznę, śmierć, rozkład.

I z tym rozkładem duchowym, któremu towarzyszy szarżyna stanów duszy, jednakowa o świcie i zmroku, czepiająca się wszelkich dziedzin współczesnego życia umysłowego, — łączy się przyziemny, jałowy realizm, znajdujący swoje odbicie w powodzi makulatury, nie mającej nic wspólnego z treścią życia rozbitego pokolenia. Symbole najszlachetniejszych przeżyć tragicznych, unoszące się nad dramataми niescenicznymi—na glebie szarego, suchego realizmu doby bieżącej nie wykłoszą ziarna porywów i zapalów twórczych, zaś zimny wiatr dążeń codziennych bez wskazań i perspektyw ideowych wydmuchuje resztki posiewu epoki ubiegłej, będącej nie tylko chwilą przelomową w dziedzinie politycznej, lecz także wyraźną linią graniczną w sferze wartości intelektualnych i artystycznych, skryształizowanych w uporczywej wojnie z pokoleniem zgrzybiałych rutynistów. Występująca jednocześnie prądów wolnościowych w życiu i sztuce, otwierająca nowe widnokęgi dla wyzwajającego się fizycznie i psychicznie człowieka—stwarzała sferę zbyt wielkich przeżyć duchowych, aby nawet mało wrażliwe koła inteligencji wciągnięte w nią nie zostały. Jednocześnie nie łamiąca się w późniejszym okresie przetrwała po dzień dzisiejszy po to, by stworzyć zaprzeczenie poprzednich wartości. Z tryumfem reakcji społecznej i politycznej wzbila się ponownie do władzy tryumfująca rutyna w życiu i sztuce. Inteligencja, podlegająca jej we wszystkich dziedzinach, stworzyła tym sposobem prąd odszczepieńczy.

Nie szpieg (rozumie się, tylko jako organizacja psychiczna) stanął na szczytach intelektu, jak chce Iósef Katerla, lecz siłą warunków współczesnych, siłą istoty duszy inteligentkiej i siłą faktów dokonanych, nie dających się zaprzeczyć —zapanowała odszczepieńczość w polityce i sztuce, odbyło się masowe wyparcie się poprzedniego wyznania wiary dla względów bezpośrednich korzyści materialnych. Tragedja współczesnej duszy inteligencji naszej unosi się jednak ponad masami, istnieje po za właściwym środowiskiem ludzi żyjących „dla siebie” i odbija się jedynie echem bolesnym w duszach tych nielicznych twórców i działaczy, którzy w żywiole inteligencji pragnęliby widzieć polyskującą krynicę ideologii, przyjętej przez istotę społeczną, najbardziej wyzwoleniczą, przez t. zw. dziś „pracującą Polskę”.

Henryk Lukrec.

Prawo ochronne.

Ustawa z dn. 22 listopada r. 1906, burząca odwieczną *obszczyne* rosyjską, wydana została na podstawie § 87 i weszła w życie, zanim jeszcze ciała prawodawcze zdążyły ją przed kilku miesiącami potwierdzić; projekt rządowy, znoszący dotychczasową odrębność prawnop- państwową Finlandji, wyłonił się wiosną tego roku, dn. 3 czerwca wzięty został pod obrady Dumy, a 10 czerwca był już uchwalony w trzecim i ostatnim czytaniu po „dyskusji”, która dawała minutę czasu na omówienie każdej z podstawowych swobód konstytucji finlandzkiej,—oto z jaką błyskawiczną szybkością gabinet obecny umie się załatwiać z tem, co staje wpoprzek drogi, którą kroczy biurokracja, szlachta zjednoczona i rozwydrzony „rdzenny” nacjonalizm.

Inaczej rzecz się ma, gdy idzie o zasadnicze, demokratyczne reformy społeczne.

Tu szalony cwał przedzierzga się w pełzający chód zółwia, docierającego wreszcie do martwych, stęchłych wód reakcji, skąd go przed laty kilku wypłoszono.

Wiadomo, że prawodawstwo rosyjskie, określające warunki bytu pracowników handlowych, jest już do tego stopnia przestarzałe, że o stosowaniu jego mowy być nie może, a cała ogromna wielotysięczna rzesza tych proletariuszy pozostaje jak gdyby poza obre- bem prawa.

Chcąc temu w części zaradzić, frakcja „wolności ludu” jeszcze w czerwcu r. 1908 wniosła do Dumy projekt prawa, normującego umowę najmu pracowników handlowych. Duma czekała cały rok, aby wreszcie wypowiedzieć się w zasadzie za projektem. Komisja robotnicza, do której projekt odesłano, nie zajęła się jednak jego rozpatrzeniem. Stało się to dlatego, że minister handlu i przemysłu zapowiedział ogłoszenie podobnego projektu rządowego, który jako rządowy ma pierwszeństwo przed pochodzącym z inicjatywy poselskiej.

Pomimo *doppingu* pod postacią interpelacji, wniesionej przez frakcję kadecką, zapowiedziany projekt nie wpływał przez całe miesiące, dopiero w końcu kwietnia rb. przesłany został ciałom prawodawczym.

Projekt nowego prawa nosi pewne piętna liberalizmu, przejawia pewne, mętne zresztą, skłonności do roztoczenia opieki nad pracownikami handlowymi.

§ 2 projektu wprowadza przymus *piśmiennej* umowy najmu, która ma określać czas trwania samej umowy, wynagrodzenie pracowników, ich prawa do mieszkania i utrzymania, dawanego przez pracobiorcę. Jednocześnie § 4 zabrania wnosić do umowy warunki, któreby ograniczały strony co do możliwości korzystania z dochodzenia swych praw na drodze sądowej.

Co do samej treści umowy, projekt nakłada na pracobiorcę obowiązki dbania o stan zdrowotny pomieszczeń, w których handlowiec pracuje i mieszka. Zgodnie z § 16 przedsiębiorca odpowiedzialny jest wobec pracownika za wszelkie szkody i straty, mogące dlań wypływać z niedotrzymania przez najmu- jącego umówionych warunków.

Projekt przewiduje w dalszym ciągu czterotygnio- we płatne zwolnienie od pracy kobiet, zatrudnionych w handlu, na czas przed i po połogu; mówi —bardzo niewyraźnie — o prawie pracownika do urlopu corocznego i pomocy podczas choroby; zabrania zatrudniać w sklepach, składach i kantorach dzieci, nie mających lat 12; zakazuje używać je do posług domo- wych, ale z zastrzeżeniem: „o ile te mogą przeszkadzać uczniowi w jego praktyce handlowej”, co ni- weczy cały zakaz.

Umowę najmu pracownik będzie mógł zerwać przed

czasem w razie niewypełnienia przez przedsiębiorcę jej warunków, przyczem dla nieletnich przewidziano cały szereg wypadków szczególnych, nie rozciągających się na dorosłych.

Tak więc w projekcie ministra handlu i przemysłu pozory liberalizmu zostały zachowane, ale są to też właśnie tylko *pozory* wobec nieustanowienia przezeń żadnych organów nadzorczych i wobec zupełnego braku wszelkich rygorów karnych za pogwałcenie prawa przez przedsiębiorcę.

Kto będzie w istocie czuwał nad tem, aby położnic nie zmuszano do pracy, aby nie zaprzęgano do niej dzieci przed ukończeniem lat 12, co i tak zresztą jest normą zbyt niską? kto będzie dalej baczył na to, aby te paragrafy prawa, które zapewniają pewne przywileje pracującym, a ujęte są w sposób aż nazbyt mętny, nie było tłumaczone przez przedsiębiorcę na swoją korzyść?

Wszelkie nieporozumienia między pracobiorcą a pracującym rozstrzygane być mają na drodze sądowej. Nie mówiąc już jednak o „sprawiedliwości klasowej”, znana jest rzeczą, że przedsiębiorca, jako strona zamożniejsza, może zawsze łatwiej zorganizować sobie obronę, wobec zaś niskiego stopnia oświaty i uświadomienia handlowiec będzie znajdował się w gorszym położeniu pod względem znajomości przyługujących mu praw.

Poza odpowiedzialnością sądową, żadna inna nie wynika z projektu ministerjalnego dla pracobiorcy, który nie wykonywa przepisów prawa. Ani kara pieniężna, ani areszt nie grozi mu za lekceważenie przyszłego prawa „ochronnego.”

To więc ostatnie, wobec tych wszystkich braków, pozostanie tylko pięknym gestem największego „liberata” wśród ministrów rosyjskich, jakim niejako z urzędu jest od lat już p. minister handlu i przemysłu.

Ww.

Echa polityczne.

Od czasu kiedy junkrzy pruscy wskutek rozkwitu ekonomicznego w Niemczech zmuszeni są oprócz polityki własnej prowadzić w części politykę burżuazji — w systemie rządzenia ujawnia się chwiejność, brak wyraźnej treści i żelaznej logiki. Zmiany, zachodzące w składzie ministrów Rzeszy, nie zwiastują przeto nowych jakichś zamierzeń politycznych, lecz dyktowane są przez względy osobiste monarchy i kanclerza i obliczone jedynie na czas istnienia gabinetu. Moltke, Arnim, Rheinhaben i Schön były to kreatury Bülowa, tworzące gabinet jednolity, który przetrwał swój czas rządzenia bez wstrząśnień wewnętrznych i którego nie podważały ani intrygi dworskie, ani tembardziej parlamentarne. Spuściła ministerjalna po Bülowie w osobach wyżej wymienionych była tem obcym ciałem w zmienionym gabinecie Bethmanna-Hollwega, które zbytecznie „obciążało” lot[polityczny nowego] kanclerza, stawało się przeżytkiem w zespole ministerjalnym, dążącym do jednolitości, t.j. do zgrupowania ludzi wyłącznie drogą protekcji i poplecznictwa pruskiego szefa gabinetu ministrów. I otóż Bethmann-Hollweg usunął kreatury Bülowa, i powołał na miejsce ich własnych satelitów w osobach pp. Dalwitza i Schorlemera, a następnie pp. Lentza i Kiderlen-Wächtera. Nazwiska nowych ministrów mówią nie wiele. Nie są to wyróżniające się indywidualności, obdarzone twórczym talentem politycznym, który przedrzeć się może wśród wpływów kamarylli dworskiej na nową, bardziej niezależną drogę rządzenia, — lecz indywidualności szare, wyszkolone w polityce oporu reakcyjnego względem wszelkich dążeń liberalnych, nawet w zakresie ideologicznym wielkoprzemy-

słowej burżuazji pruskiej. Wyjątek stanowi może nowomianowany minister spraw zagranicznych p. Kiderlen-Wächter, biegły dyplomata, który wznosił się na szczyty kariery biurokratycznej w krzyżowym ogniu politycznym za czasów Bismarcka, i który dziś, być może, zawdzięcza swoje stanowisko nabytym przymiotom czy przywarom bismarkowskim.

Bądź co bądź jednak — ani ustąpienie p. Rheinhabena, dawnego landrata z Poznańskiego, który podobno był najgłośniejszym inspiratorem polityki antipolskiej — nie wpłynęło na sposoby stosowania programu wywłaszczenia, — ani tembardziej ogólne zmiany w składzie ministerjalnym w Prusach nie wytknę nowych etapów w polityce rządowej tak wewnętrznej, jak i zagranicznej. Dymisje i mianowania w Berlinie sprowadzą conajwyżej marsz uroczysty kreatur biurokratycznych Hollwega na posady ministerjalne w stolicy i wymarsz podobnych kreatur Bülowa na prowincję, który w gawiedzi politycznej, pozbawionej wszystkiego prócz wiecznej nadziei, wzbudza nowe złudzenia na żadnych faktach nieoparte.

Aresztowanie bar. Ungern-Sternberga jest jednym z tych wypadków, które charakteryzują tło stosunków dyplomatycznych między Rosją i Austrią. Znalezione podczas rewizji dokumenty świadczą, że baron był nie tylko urzędowym korespondentem wiedeńskiego „Correspondenz Bureau”, lecz także zakulisowym agentem ambasady jednego „z wielkich mocarstw” ościennych. W dokumentach tych wyszczególnione są sumy, wręczone przez bar. Ungern-Sternberga osobom, dostarczającym informacji wojskowych. Ostatnio, według poufności, attaché wojskowy przy ambasadzie austriackiej, z którym baron pozostawał w stosunkach, porzucił nagle swoje stanowisko. Drobne te epizody, rozgrywające się jednak na niewyraźnym i bądź co bądź tajemniczym tle dyplomatycznym, w czasie obecnych nieporozumień austriacko-rosyjskich mogą mieć większe znaczenie, niż to się na pozór wydaje. Tembardziej zdarzenia tego rodzaju nie są znikome, że zbiegają się z innymi epizodami politycznymi, rozgrywającymi się na szerszej widowni europejskiej. Franciszek Józef, otwierając Sejm węgierski, podkreślił w swej mowie konieczność zwiększenia wydatków na cele wojskowe; wiedeńska Izba Panów cofnęła sankcjonowaną już decyzję co do budowy kanałów, motywując to znów temi względami, że nie pora na wyczerpywanie kredytów na cele pokojowe.

Mowa hr. Bobryńskiego w Chełmszczyźnie o konieczności przyłączenia do Rosji Rusi galicyjskiej jest również epizodem, łatwo kojarzącym się z innymi faktami, które rzucają światło na stosunki dyplomatyczne austriacko-rosyjskie, rozluźnione od czasu aneksji Bośni i Hercegowiny. Nie bez znaczenia w tym wypadku są prześladowania przez władze austriackie moskalofilów na Bukowinie, jako też masowe procesy o szpiegostwo w Austrii.

Aresztowanie Ungern-Sternberga początkowo było powodem przypuszczeń, że idzie o wykrycie stosunków barona z żywiołami radykalnymi, który przez dłuższy czas badał stosunki robotnicze ¹⁾. Dziś jednak jest pewnem, że uwięzienie bar. Ungern-Sternberga nastąpiło z powodu zawikłanych działań zakulisowych na rzecz „ościennego wielkiego mocarstwa.”

¹⁾ Bar. Unger-Sternberg ogłosił drukiem dwie rozprawy o stosunkach robotniczych w Petersburgu: „Über die wirtschaftliche und rechtliche Lage der St. Petersburger Arbeiterschaft” i „Die Erziehung der St. Petersburger Arbeiterschaft zur Revolution.” Obie rozprawy ogłoszone w Berlinie w r. 1909.

Prowincja.

(FELJETON).

Miasto było jakby przyciszone, oniemiałe. Pod akacjami snuły się postaci staroświeckie w zielonych wyblakłych płaszczach z siedmiu kołnierzami. Szły twarze apatyczne, znudzone, lśniące lub rumiane. Czasem przesuńło się uroczyście oblicze pełne drewnianej wyniosłości.

Wysoka wieża kościelna błyszczała krzyżem złocistym; ciężkie dzwony wisiały w milczeniu. W dzielnicy żydowskiej snuły się chmary biedaków, umierających zwolna, a żywotnych jak trąd. Wobec tego mrowiska pustka innych ulic wydawała się tem smutniejszą.

Usiadłem w ogrodzie miejskim z przyjacielem z lat dawnych.

— Zaraz się rozpocznie—mówił—przygotuj się. Mieszkańcy zjedli już obiad świąteczny, zdrzemnęli się trochę, a teraz przed wieczorem przyjdą strawić na świeżem powietrzu resztę zrazów i niezadowolonia, jakie daje sen o pełnym żołądku. Najdalej za kwadrans wejdzie mama „Brzoskwinia“ z córką Anielą. Panna bardzo ładna, a mama jeszcze przystojniejsza, z meszkiem. W górnej szczęcie z prawej strony brak babie jednego zęba. — Do djabła, któż tam stoi? Zastłoniły gałęzie, i dostrzedz twarz trudno. Aha, poznaję po kamazach; to doktor Ricinus. Dotąd obrażony na Weresajewa, że rozgłosił tajemnice sztuki lekarskiej. Jeszcze kilka minut, a ukaże się p. I., właściciel składu aptecznego, piękny blondyn o delikatnych nozdrzach. Był w Paryżu i odtąd czuje się bardzo nieszcześliwy „na tem pustkowiu“. Jeżeli go poznasz, będzie cię przekonywał, że powinienes zostać rentjerem. Będzie cedził słówka przez słodkie zęby z migdału (Kobiety nadzwyczajnie lgną do tej lukrecji!). Jabym mu już dawno oddał te kilkanaście rubli, ale, widzisz, jego aksamitna melancholijność i pewien odcień męczeństwa w oczach, kiedy się ze mną spotyka, tak mnie zachwyca, że nie mogę! Razem z nim, a może nieco później wejdzie pani G., najlepsza w całym mieście pianistka, o której nie mówi się inaczej niż: „nasza wielka pianistka“, „zawdzięczam jej najpiękniejsze chwile życia“. Tam pod drzewkami spaceruje radca N. Żalił się wczoraj przede mną, że obłano go wodą z balonu, „choć—jak mówił—byłem w mundurze“.

Tam dalej płynie bombastyczna pani W., wielka artystka dramatyczna i zarazem męczennica sceny amatorskiej. Utrzymuje ona, że jedną z największych ofiar dla dobra społecznego jest branie udziału w teatrze amatorskim, i trzy czwarte miasta zdołała już pozyskać dla tej pięknej idei. Oto radca dyrekcji szczegółowej ziemskiej P. kołyszę w rękę parasolem.

Aha, wita się z asesorem D. Oglądają parasol. Asesor jest zainteresowany, szczerze zainteresowany. Wiaterek powiewa w naszą stronę. Posłuchajmy rozmowy.

— Wiele pan dałeś?

— Trzy pięćdziesiąt.

— Niepodobna!

— Słowo daję! Materiał jedwabny, pręty stalowe, główka słonkowa... O, ja umiem kupować.

— Pięknie, pięknie—mówi asesor; poczem zaczyna:

— Było to w roku 1899. Jadąc z Warszawy do Kalisza, kupiłem sobie parasol. Przyjeżdżam do Łodzi, na dworcu kolejowym stawiam parasol w kącie, kupuję bilet do kolejki i jadę dalej. Za Łodzią—łap, ba! parasola niema. Myślę sobie: znajdzie się czy nie?.. wrócę dla zasady. Wysiadam z karetki, biorę doróżkę, pędzę na stację, wpadam do poczekalni, biegnę do kąta, patrzę i wyobraż pan sobie...

— Jest parasol?

— A gdzie tam!.. Niema... Pytałem ludzi, ale nikt go nie widział. Zginał. Jadę z powrotem, siadam do tramwaju elektrycznego. Przyjeżdżamy do Pabjanic... poczta już odeszła. Czekano na mnie, trąbiono, no— to trudno—pojechali. Nająłem ekstra-pocztę i dojechałem karetką.

— Niemiły wypadek—mówi radca.

— Bardzo niemiły—zgadza się asesor,—ale zasada uratowana.

Ruszają z miejsca i oddalają się drobnym kroczkiem ludzi starych i znudzonych.

— A teraz patrz—jak elegancko uklonię się tym dwu damom... Ta starsza pani, która przy powitaniu ukazała podwójny rząd złotych zębów, jest wdową od lat dwudziestu i dotąd oplakuje męża, zgasłego w kwiecie wieku. Odwiedzimy jej domek na przedmieściu. Jest to sarkofag do przechowywania wspomnień. Ona to mumja bardzo cnotliwa i po staroświecku dystygowana. Nigdy słowa cierpkiego, cała w półtonach i w półwestchnieniach. Język odcędzony przez cztery sita. Słowa wszystkie okrągłe jak groch lub co najwyżej z dziobkiem jak u spadającej łyzy. Odwiedzimy jej domek, aby zakosztować nowej odmiany znudzenia. Niewielki ogródek z altanką, stara serwantka, białe muslinowe firanki, zapach rumianku, podłoga skrzypi, niski sufit, szepty, westchnienia, wszystko beznadziejnie miłe. A przy niej niby młody grzyb—entuzjastka prowincjonalna z zapałem do trzech bóstw hieratycznych: piękna, dobra i prawdy... Pomimo jednak tyłu cnotliwości zebranych razem, dziewczeczka ta posypuje sobie nos suto pudrem...

Ta biała, pulchna kobietka, na którą spojrzawsz tak nieprzyzwocznie, jest żoną jednego z naszych przemysłowców, który wiecznie jest w rozjazdach. Zastępuje go przyjaciel domu, ten otyły błądy muzyk, z którym pani B. przechadza się oto teraz w ponurem odosobnieniu. Od lat dziesięciu przechodzą tu spacerować ci dwoje we flegmatycznym milczeniu. Jeżeli się chmurzy, muzyk zjawia się z zielonym parasolem. Za lat dziesięć będą przechadzali się tak samo, bo pani B. należy do kobiet, które kamienieją w wierności względem kochanka.

— Ach, panie—wzdycha mecenasowa F. — jaka szkoda, że to nie małżeństwo, Moznaby ich za przykład stawiać całemu światu... A tak...

U nas wszystko trwa strasznie długo i jest „platoniczne“.

Mecenas C. od lat piętnastu jest w przyjaźni z aptekarzową L. Raz ktoś puścił pogłoskę, że widzianno ich kąpiących się razem w rzeczce o dwie wiorsty za miastem. Lecz mąż aptekarzowej dowiódł, że to nieprawda, „bo owego dnia moja żona wcale się nie kąpała“. Koniecznie chciał wyzwać na pojedynek i zastrzelić rozsiewającego plotki. Nie mógł znaleźć sprawcy, ale odgrażał się strasznie!

Pani N. znowu przyjaźni się z doktorem T. Mieszkania państwa N. i doktora łączą się z sobą! Pani N. osobiście wiąże doktorowi serwetę pod brodą, a w nocy wstaje troskliwie i sprawdza, czy doktor przypadkiem nie skopał z siebie kołdry (Ach, noce są tak chłodne w naszym klimacie!). Gdyby jednak kto chciał na tem tle rozsiewać wieści uwłaczające czci pani N., jej mąż groźnie zaperzony, syczy ze zjadliwą pogardą:

— A więc według pana przyjaźń między mężczyzną a kobietą jest niemożliwa? Co???! Żądam satysfakcji honorowej!“.

Ileż potem potrzeba wysiłków ze strony przyjaźni, aby zapobiedz rozlewowi krwi.

Doktor L. (u nas doktorzy i adwokaci zaliczają siebie nieraz do arystokracji!)—znany atleta i brutal, mówi przy gościach do żony podczas obiadu:

— Tobie się podoba blask zewnętrzny. Powinna byłaś, wyjść za konsula. Bo wyobraźcie sobie państwo: konsul, kon-sul! Pi! Pi! Co to za brzmienie! Albo za rejenta R.—dodaje po chwili—elegancki, lalkowaty blagier, rumiany, rączka miękka jak świeży pączek, główka z tyłu rozłupana na dwoje!

— Istotnie — mówi piękna doktorowa, sznurując wąskie usta—rejent jest wytworniejszy od ciebie..

Rejent w wielkim sekrecie przed mężem, który jest z natury zbyt porywczy, jest przyjacielem domu, kochankiem namiętnym i szczęśliwym. Wie o tem całe miasto, ale eleganckie sfery „podjęły się uwierzyć“, że pomiędzy rejentem a doktorową niema nic więcej nad przyjaźń platoniczną. W ten sposób unika się głośnego skandalu i pani L., która tak pięknie gra Szopena, może być wszędzie przyjmowana.

W ciągu dziesięciu lat tylko dwa razy miasto zmuszone było przyznać, że „było jednak coś więcej“. Raz pani X., przepiękna blondynka z cudownymi ramionami, która tak świetnie grała rolę baronowej w teatrze amatorskim, uciekła z niskim brunecikiem, koncepcją swego męża, i po roku wróciła z tygodniowym niemowlęciem (Mężowie naszego miasta są szlachetni: mąż przebaczył!). A drugi raz, kiedy najprzystojniejszy z ośmioklasistów miejscowego gimnazjum zakochał się gwałtownie i uciekł w świat szeroki z prostytutką, która przyjechała na gościnne występy z Warszawy.

A co za rozrzewniająca prostota, co za umiejętność bawienia się bez cudackich wymysłów wielkomijskich!

Przychodzi, na przykład, doktor K. do kasjera N. Grają w domino i toczą tego rodzaju rozmowę. Zaczyna doktor i mówi poważnie:

— Ta robota jest na psa.

Chwila ciszy.

— Tu chudemu dał klapsa — podchwytuje kasjer równie, poważnie.

Wtedy doktor kończy radośnie:

Ale kto ma *szust* w głowie, całkiem inaczej powie. Tu śmieją się obydwaj. Potem grają w milczeniu. Czasem bąkają zdania tego rodzaju:

Taterdy ma-ta ter-dy — mówi jeden.

Alles für, alles für—mówi drugi.

Poczem znowu milczą albo wracają do ulubionego konika:

Ta robota jest na psa i t. d.

W ten sposób niewyszukany ci zacni ludzie, którzy pokonczyli uniwersytety i wlatywali niegdyś nad poziomy, mogą się bawić całymi godzinami!

Pewnego dnia nic nie zapowiadało, że się stanie „co najmniej rzecz dziwna“, jak się wyraziła jedna z pań. A jednak, kiedy długi szereg strojnych dam po wotywie pociągnął w stronę ogrodu miejskiego, z poza dzwonnicy wysunęła się nagle szybkim krokiem kobieta wysoka, ze śmiałą „nigdy u kobiet w X... nie widywaną twarzą“, z jasnymi, nieco niesforemami włosami, ubrana w czarną mantylę i skierowała się również w stronę ogrodu. Obok niej szła dziewczyna młoda, niska, z twarzą białą jak mleko i ciemnymi połyskującymi jak aksamit oczyma. Młoda panna miała twarz spokojną, łagodną, jakby nieco senną czy rozmarzoną, a stanowiła uderzający kontrast ze starszą. Niemal biegła, nadążając za wysoką damą, której oczy patrzyły z wyzywającą śmiałością na postrojone panie miasta X.

Ale najciekawszy i najbardziej niespodziewany widok przedstawił się paniom i panom miasta X., gdy niezajoma minęła sznur osób, dążących do ogrodu, i w ten sposób wyszła naprzód, przed wszystkich. Oto ujęła ona tren sukni, machnęła nim energicznie w bok i podniosła szatę w górę, odsłaniając łydkę

w błękitnej pończosze. W ten sposób przeszła manifestacyjnie około trzystu kroków.

Nikt jeszcze w X. nie ugiął się tak wysoko. Panowie byli zażenowani, panie zgorzone.

— Zdaje się — rzekła redaktorowa L. — że dla tej pani u nas za ciasno.

I zwracając się do męża, dodała:

— Mam nadzieję, że napiszesz o tem w gazecie.

Mąż bąknął wymijająco. Wszyscy przyznali, że widzą tę panią po raz pierwszy.

Młoda doktorowa P. zwróciła się do swej przyjaciółki adwokatowej D.

— Nie wiem... rozumiem, że po błocie... i to nie tak wysoko, ale dziś, kiedy jest zupełnie sucho... I uważałaś ten kolor błękitny?..

— Uważałam... hi! hi! hi!

— Błękity pod spódniczkami!.. — zadeklamował prowizor.

— Panie Władysławie — rzekła jedna z pań z wyrzutem — nie jesteśmy sami!

Niemym gościem wskazała na dwa podlotki, po lat szesnaście, które tymczasem mówiły:

— ... W łydkach za cienka.

— Eee... jabym tam chciała mieć takie.

To się nazywa na prowincji *epizodem*.

— A to prawdziwa niespodzianka: Iskra przyszła do ogrodu.

— Kto? Ta żywa brunetka? Z jaką miłością wspiera się na ramieniu tego starca. Czy to jej dziadek?

— Nie, to przyjaciel platoniczny. Widzisz, ona odbywa teraz lekcję zalotności. Marzy przytem, że jest przy boku pięknego młodziana o kruczonych włosach. Dziewica ta posiada to, czego nie ma żadna inna w całym mieście.

— Doprawdy?

— Tak. Posłuchaj Jest to córka znanej w mieście akuszerki. Ładna dziewczyna. Zapewne wyszłaby już za mąż, gdyby nie to, że pragnie tego zbyt namiętnie. A na prowincji to nie uchodzi! Ilekroć zawitał młody mężczyzna w progi renomowanej akuszerki, matka witała go z otwartymi ramionami: „A bywaj że, bywaj, witezium młody!“ Panna, niezmiernie żywa, ogniem temperamentu jak wióry paliła zapory tego, co wypada, a co nie. No, wiesz, była wyborna... Figlarna, nieraz dowcipna... a przytem umiała siebie trzymać w karchach.. Z zuchwałą lekkomyślnością urzędowała coraz to nowe wycieczki, spacer, majówki... Widywano ją za miastem z młodzieńcami słynąciami z prowincjonalnej don-żuanerji. To szkodziło jej w opinji, która orzekła wreszcie, iż jest to osoba zepsuta, upadła, nawet sprzedajna.

Pewnego ciemnego wieczoru jeden z miejscowych telegrafistów strąbił się i w przystępie pijackiej zuchwałości wezwał ją bilecikim do numeru hotelowego. Iskra pojęła, że miasto jest przeciw niej i że trzeba się zrehabilitować. Sprawę skierowała na drogę sądową, i telegrafistę skazano. Aby nie było żadnych wątpliwości—lekarz po zbadaniu skarżącej orzekł, że Iskra jest dziewczicą.

Odtąd spotwarzona zaczęła pokazywać chłopcom swoje świadectwo niewinności. Śmiejąc się, nucąc wyjmowała je nieznacznie z szufladki i podawała z miną naiwnej mniszki. Patrzcie, spotwarzono mnie... jestem niewinna, dziewica i niewinna... I to świadectwo, mające rozpraszać wszelkie wątpliwości — powystraszało najzagorzalszych. Wielu nie kłania się już Iskrze. Jest skompromitowana, pociesza się jednak bałamucciem starców, których nawet świadectwo nie odstrasza.

— Jabym chętnie zamieszkał u was na czas jakiś... poznać was bliżej, zgłębić, pokochać...

— Ha, myśl niebezpieczna! Nie masz przecież ani majątku ani stałego zajęcia.

— Jestem literatem.

— Ba, literatem. Co to jest literat?

— Zagadka, mgła, przesąd, zawalidroga... osoba bez określonej pozycji. Niewiadomo, jak mu się uklonić, nisko czy wysoko; niewiadomo, jak z nim mówić: czy lepiej go unikać, czy żyć z nim za pan brat. Wyobraź sobie męczarnie delikatnej pani domu, która nie wie, gdzie cię posadzić, czy na pierwszym miejscu jak kolegę Sienkiewicza, czy na szarym końcu? Literat to pojęcie ogromnie nieokreślone, to otchłań wątpliwości. Jeżeli miasto uzna, że masz talent i że warto się tobą interesować, każdy krok twój będzie śledzony, a każdy postępek — roztrząsany. Jako literat zostaniesz zaproszony do współpracownictwa w miejscowym organie. Jeżeli napiszesz, że panie przysły na zabawę w sukniach zapiętych pod szyję na pięć skromnych guziczków, jesteś zgubiony, bo w słowach tych usłyszą syk sprośnego żalu, że nie przysły obnażone po pas i nie mogłeś się rozkoszować alabastrami ich łon aksamitnych. Jeżeli napiszesz, że mecenasowa Z. na przedstawieniu amatorskiem bawiła wybornie całą salę niezrównanym humorem — jesteś zgubiony! Mecenas Z. wyzwie cię na pojedynek (nie-szkodliwy!), bo żona jego wręcz przeciwnie wzruszała mistrzostwem gry dramatycznej. Wreszcie pewnego dnia miasto zostanie zasypane anonimami, — a wtedy jesteś zgubiony bez ratunku! Dość bowiem, aby jedna z pań zrobiła skromną uwagę, że jednak te listy pisane są z widoczną swadą literacką — a jednogłośnie uznany zostaniesz za autora anonimów, i kwiat inteligencji miejscowej odwróci się od ciebie z druzgocącą wzgardą.

Słowem, jeżeli chcesz koniecznie zginąć marnie, to radzę ci: obierz sobie inny rodzaj samobójstwa.

Leon Choromański.

Wzorowa gospodarka.

W ostatnich czasach prasa warszawska omawiała na szpaltach swych organów wszystkie skandale i sensacyjki europejskie, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach. Nic dziwnego zatem, że dla spraw lokalnych, bardziej skandalicznych nieraz zbrakło zupełnie miejsca.

W drugiej połowie czerwca odbyło się ogólne zgromadzenie członków „Warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu kupców i przemysłowców”. Sprawozdanie z roku 1909-go wykazuje stratę w sumie rb. 98,369, co łącznie ze stratami z lat poprzednich stanowi sumę deficytu rb.: 113,624. Instytucja znalazła się nad brzegiem przepaści, i Rada zmuszona była postawić wniosek „dopłaty 10% przyznanego każdemu członkowi kredytu w ciągu 7 dni”, gdyż w przeciwnym razie Towarzystwo musiałoby być zamknięte w myśl § 78 rozdziału X ustawy kredytowej.

O tej tak charakterystycznej sprawie zaledwie w kilku pismach codziennych znalazła się sucha wzmianka. Tak ciekawe z natury rzeczy gazety nie zainteresowały się zgoła kwestją tak doniosłej (z ich punktu widzenia) wagi dla życia handlowo-przemysłowego naszego miasta.

Dlaczego tak się dzieje, to już pozostanie tajemnicą gabinetów redakcyjnych, w których gospodarka naszych instytucji finansowych traktowana jest ze szczególną pobłażliwością. Ta szczytna zasada tolerancji dochodzi aż do starannej pieczołowitości, baczącej na to, aby nie odzywały się żadne głosy krytyczne.

I dopiero wówczas, gdy następuje *krach* — jak to miało miejsce w doprowadzonym do bankructwa praskim towarzystwie Wzajemnego Kredytu — zaciśnięte dotychczas wargi przedstawicieli prasy otwierają się szeroko, jakgdyby w celu tem dosadniejszego zilustrowania przysłowia, iż umarlemu i kadzidło nie pomoże...

Jest to publiczną tajemnicą, że funkcjonowanie warszawskich towarzystw Wzajemnego Kredytu i Kas Pożyczkowo-oszczędnościowych (z nader nielicznymi wyjątkami) pozostawia bardzo wiele do życzenia.

I inaczej być nie może. Na czele tych instytucji stoją zazwyczaj kierownicy nieumiejętni, którym zbywa na niezbędnym przygotowaniu fachowem, a natomiast — zdeklarowani członkowie rozmaitych bractw wzajemnej adoracji, ześrodkowujących swą działalność na stwarzaniu „ciepłych” synekur. Powołuje się do życia instytucje kredytowe w tym celu, aby wepchnąć protegowanych na dobre posady członków Zarządu.

Ludzie ci są opłacani nadzwyczaj sownie. W jednym np. z towarzystw wzajemnego kredytu koszty handlowe wynoszą 26%, w dwóch innych — po 25%, w jeszcze innym 22,6%, w dwóch znowu po 16%, w jednym 11% i t. d. Jak wysoki jest ten stosunek, dowodzi fakt, że w najdawniej założonym i najlepiej a nawet wzorowo prosperującym towarzystwie koszty te wynoszą zaledwie 8%.

Lwią część sum tych pochłaniają pensje pp dygnitarzy z Zarządu. Dochodzi do tego; że wynagrodzenie tych paru ludzi przewyższa sumę pensji wszystkich urzędników i woźnych razem wziętych. Tak np. w zagrożonym ruiną Tow. wzaj. kred. kupców i przemysłowców Zarząd pobierał w roku 1909-tym rb. 5984, a wszyscy pozostali oficjalisci razem — rb. 5296. Nawet Rada towarzystwa uznała tę niewłaściwość i proponuje w budżecie na rok 1910 podwyższyć pierwszą sumę na rb. 6000, a drugą — na rb. 6020. Nie wiem, czy budżet został zatwierdzony w tej formie, łagodzącej nieco jaskrawą niesprawiedliwość dawnego stosunku. Ale czy szanownej Radzie uda się przeprowadzić tę „humanitarną” podwyżkę pensji niższych oficjalistów w rzeczywistości? Jest to w każdym razie bardziej prawdopodobne niż obiecywany przez nią zwrot dopłacanych udziałów z potrącenia 10 proc. zysków netto. Bo trudno jest uwierzyć w zyski z przedsiębiorstwa, które rok rocznie zamyka bilans deficytem.

Zbyt wysokie wynagradzanie członków jest jednym z najważniejszych punktów tego wadliwego naogół systemu. I ono też przyczynia się do nadmiernego wyśrubowania stopy procentowej, potęgowanej za pomocą różnych wybiegów i sztuczek. Że stopa ta jest zbyt wysoka, przyznaje pośrednio sama Rada Tow. wzaj. kred. kupców i przemysłowców, obiecując zniżkę na przyszłość.

Nic dziwnego, że w takich warunkach rozwój instytucji wzajemnego kredytu posuwa się zółwim krokiem naprzód. Dziesięć tych towarzystw powstałych po roku 1900-nym liczy mimo sprzyjających warunków ekonomicznych ogółem 8654 członków z kapitałem zakładowym rb. 1250000.

Bankructwo praskiego Tow. wzajemnego kredytu, którego bolesne konsekwencje ponoszą członkowie po dzień dzisiejszy, i obecne zachwianie się Tow. wzaj. kred. kupców; i przemysłowców winno zwrócić uwagę ogółu na te sprawy. Nie ludźmy się bowiem mniemaniem, iż są to fakty sporadyczne.

Wszakże, gdy ogłoszono bilans, o którym była mowa powyżej, jeden z najpoważniejszych znawców finansowości u nas miał się wyrazić: „Cóż oni tam mają za buchaltera, który tak niezręcznie układa bilansy!” Znaczy to, że zestawienia roczne innych instytucji wzaj. kred. przedstawiałyby się nie lepiej, gdyby nie

„umiejętność“ buchalterów. A inny równie wybitny finansista rzekł kiedyś w rozmowie prywatnej z piszącym te słowa: „Warszawa stoi na podminowanym gruncie; katastrofę można odkładać, ale prędzej czy później kryzys przyjść musi“.

Cóż zatem mają czynić członkowie towarzystw wzaj. kred. i kas pożyczkowo-oszczędnościowych, aby kryzysu uniknąć? Bronić swych interesów, zajmować się rzeczywiście losami instytucji, za które odpowiadają finansowo. Niechaj zebrania ogólne przestaną być nędzną, ukartowaną z góry komedią, gdzie garstka adherentów Zarządu i Rady uchwała wszystko, cokolwiek im każą, nie dopuszczając nawet do głosu oponentów. Niechaj wśród członków powstanie opozycja przeciwko ministerjalnym pensjom synekurzystów, którzy nie tylko nie czynią nic dla instytucji, ale nawet prowadzą je na bezdroża w swem dążeniu do załatwiania własnych „kombinacji“.

Gienjalna pomysłowość tych panów, gdy chodzi o korzyści osobiste, powinna stanowić kartę w dziejach „rozwoju“ ekonomicznego naszego miasta. Karta ta dałaby niejedno wyjaśnienie przyczyn faktu, że rozwój ten idzie tak leniwie. Dowiedzielibyśmy się niejednego ciekawego szczegółu co do księgowanej szumnie rubryki „strat“.

Asper.

„Młode Włochy” przed sześciu wiekami.

(Szkie historyczno-literacki).

„Młode Włochy”, „Młoda Polska”, „Młoda Skandynawja”, „Młoda Belgja” it. d. it. d.

Nazwa „nowa”, pojęcie stare.

Nim symbolizm dorzucić mógł coś do dobytku twórczego,—zjawił się jako konieczna przesłanka ewolucji: reagował na naturalizm, tworzył asonans do romantyzmu, który to znów łukiem nad pseudoklasycyzmem szedł z ludowości, ciągnął toki ze średniowiecza, a to znów... it. d. it. d.

Fala za falą prądy sztuki były o ład życia, każdy „nieśmiertelne pieśni za sobą ronił” i wstecznym głębinowym nurtem odchodził.

Były jednak w tej łączności wahań przełomy epokowe, były dzieworódtwa jakby, były wygaśnięcia linii, powstawania rodów świeżych.

Tak na ruinach sztuki antycznej wyrosły prawie ze nic z nią wspólnego krom łączności terytorjalnej nie mające laurowe gaje „błdych barbarzyńców”, ludów młodych romańskimi zwanymi, właściwie mieszanin gallo-celto-germańskich.

Po kulcie piękna Hellady i Romy wypłynęły na wierzch duszy ludzkiej inne zachwyty. Wytworzyły się ideały nowe. Misterja bogini miłości, kult ciała ubóstwianego, Aphrodyte-Wenus, zmarły; chrześcijańskie niebiosy z hufami aniołów i świętych, adoracja, zbożna myśl rycerska, wzniesienie pojęcia „tylko kobiety” do godności „damy” i echa struktur arystotelesowskich i idej platońskich w interpretowaniu mistyków religijnych formują kult wręcz nowy, zasadniczo od antycznego odmienny, nieprzesłankowy: „panią uanieloną.”

Ta fala sztuki napłynęła przed sześciu wiekami: na oddzielnych elementach, na strzępach spadkowych najbliższych i czynach świeżych, z testamentu pomordowanych trubadurów, z prowansalskiej „sztuki radosnej” — gay saber, z umbryjskich laud ascetycznych a poezji „dworskiej”, powstały „Młode Włochy” florenckie w trzynastym wieku, stworzyły „nowym słodkim stylem” pojęcie *donny angelicaty*, a pojęcie to w symbolu rzucił Dante pokoleniom przyszłym: „Bea-trycza!”

Średniowieczne uanielenie kobiety, ubóstwienie obiektu miłosnego nie miało przed sobą żadnych zgoda precedensów ni w sztuce antycznej ni w literaturze Wschodu, pojęcie kochanki-bóstwa, dla nas tak naturalne i tak stare, nie istniało o dwadzieścia pokoleń wstecz.

Pojęciem tem wzbogaciły duszę ludzkości „Młode Włochy” XIII w., tak zwana nowa szkoła florencka, do współodkrywców należeli: protoplasta jakby, Guido Guinicelli; metafizyk tego prądu, Guido Cavalcanti, za niemi Cino de Pistoja, dalej cały szereg nazwisk, które zatoneły w historii literatury: Lapo Giani Dino Frescobaldi, Giani Alfani, Jacopo Cavalcanti, Jacopo de Lentino, Neffo d’Oltrano, Bartolomeo Macconi i w. inn., następnie mistrz Dantego, Brunetto Latini; a pośród nich, jak szczyt lodowy wśród pagórków, ten najdorzalszy płód wieków średnich, którego duch jak słońce przez stulecia kolejno kładł swój blask na pokolenia artystów Europy od Rafaela począwszy, skończywszy choćby na naszych romantykach,—Dante Alighieri.

Ma więc ten prąd z przed sześciuset lat dla sztuki znaczenie ważne, a jak ładząco przypomina w rolach przedstawicieli swych współczesne „szkoły”, „kierunki” i „prądy!”

Szczepia się on gałęzmi swych koron z całym lasem średniowiecza, z jednej z nim gleby wyrasta, lecz ostaje się mimo bankructwa scholastyczne i do dziś kładzie swe refleksy na dusze współczesne. By go zrozumieć formalnie i historycznie, by uświadomić sobie, jak olbrzymią pełnią miłości jako podstawą sztuki, jaką pełnią miłości idealnej rozkwitnąć potrafił ten kierunek średniowieczny, — koniecznym jest zobrazowanie łączności „nowego słodkiego stylu” florenckiego z najbliższą poprzednią falą, literaturą prowansalską.

W czasach poezji prowansalów miłość była dla poety nie tyle uczuciem, ile nadewszystko zajęciem, a kochanka, często adorowana tylko z dali, bożyszczem. Sądy miłosne, instytucje, które w takich tylko warunkach powstać mogły, określały stopnie uczucia i ujmowały w prawidła cechy i stosunki miłosne aż do najmniejszych detali

Więc: aksjomatem nieomal było, iż nie masz miłości pomiędzy mężem a żoną. Tak brzmiał wyrok sądu miłosnego księżnej Szampanji z r. 1174: „Utrum inter conjugatos... czy może istnieć miłość między dwojgiem małżonków?... orzekamy i upewniamy, że miłość nie może rozciągać praw swoich na osoby związane węzłem małżeńskim, bo...” i tu następują motywy wyroku. Miłość w tej epoce średniowiecza miała u swej podstawy chroniczny niejako stan wiarołomstwa i cudzołóstwa: by kochać, trzeba było wejść w związki małżeńskie i kochać po za niemi. Narówni z małżonkami traktowani byli beżenni, — miłość wśród nich również była niemożliwa.

Poeci Prowancji tak opisują ideał kobiety: dama szlachetnego urodzenia, można, otoczona dworem młodych rycerzy, wśród których wolno jej (jeżeli nawet nie należy) wyróżnić i wabić ku sobie jednego. Skoro wreszcie węzeł pomiędzy ową damą a wyróżnionym rycerzem został zadziergnięty, skoro miłość dopełniła się faktem,—zobowiązani są odtąd kochankowie miłować się nawzajem pod karą utraty praw do kochania na zawsze, i nic już ich odtąd z wyjątkiem śmierci rozdzielić nie może.

Dochodziło do tego, że zakochani trubadurów zwracali się do małżonka swej damy z zawiadomieniem o wyborze. Tak zrobił Guilhem de Cabestang, chwalać nadzwyczajną piękność, skarby dobroci swej kochanki i nazywając ją w wierszu z nazwiska:

Piękna moja, Sen Remon!

Czarem wdzięki twoje tchną,

Skarby wdzięków, które widzę. *)

Zresztą poezja prowansalska ówczesna nie była wyjątkiem, owszem, analogię do niej widzimy w każdej poezji erotycznej innych krajów owej doby. Dam prowansalskich nie „uanielano” jednak, przeciwnie, pożądaną je, chciano się niemi zachwycać, podziwiać szczegółowo, na co nie ośmielał się tylko poeta północno-włoski owego czasu. Weźmy choćby prowansalską Blancaet’a:

Pozwoli dama na szczęście niezmiernie,
Podziwiać ją, gdy przecudownie naga
Spojrzeniem słodkim rzuci w moją stronę,
I w barw swych śnieżnych ujmie blask
zalewny,—

Nieskończoności szczęścia jestem pewny.

Zwyczajnie te, z pewnymi zmianami jednak, znajdujemy w poezji sycylijskiej i, w poprzedzającej „Młode Włochy” XIII w., starej szkole florenckiej, ostatecznie jednak nie przyjęły się one we Włoszech (dowodem choćby Bokacjusz, u którego nic podobnego do pojęć miłości prowansalskiej nie widzimy, a trudno przypuścić, by uszedł uwagi twórcy „Dekameronu” jakkolwiek odciśnięty w stosunkach miłosnych).

Po starej szkole florenckiej nowa zmodyfikowała koncepcję miłości, a przez to i zwyczajów wraz z możliwymi w nich naleciałościami z Prowancji.

Miłość poetów XIII w. we Florencji stała się czystą, bezosobową, a objektem jej nie kobieta, lecz kobiecość personifikowana w kreację idealną. Żadnego marzenia o małżeństwie, o posiadaniu, o donżuanerii; opiewane kochanki są istotnie boginiami dla swoich piewców, marzyć o nich można na klęczkach, można je kochać i bać się tylko. Miłość „Młodych Włoch” nabiera cech religii, kultu, dla którego hymnami są sonety, kancony, ballady. Szkoła ta, nie zmieniając swych ideałów, dojść musiała do Petrarki, choć kochanek Laury, będąc mniejszym od Dantego poetą, był bardziej bezpośrednio szczerym: bardziej w miłości ludzkim.

Możnaby rzec w tym względzie, że podobna wytworzyła się moda na wyrażanie swych uczuć, jak naprz. na formę ubrania: ludzkość w pewnych epokach dąży do nagości, choć drwi z niej; w innych szczerze spowiada swe ideały, choć w nie wierzy, podczas gdy znów w innych wątpi, czy pod alegorją może bić serce, czy też kondensuje się w owej tylko pracowicie wykoncypowana logika.

Po zwykłych dość subtelnościach, po pożądlivościach prowansalskich, kopjonowanych przez poetów florenckich przeddantejskiej doby, dokonywa się zwrot nagły w epoce następnej. Zwrot ten w historii ewolucji ludzkiego uczucia jest stanowczo etapem, jest postępowaniem znacznym. Znika władczyni kasztelu, by ustąpić miejsca damie-kobiecie, — wreszcie dziewicza Giovannetta wkracza na podjum. Poeta łączy swą miłość z procesami logiki i potępiając milczeniem konwencjonalną galanterję prowansalską, — tworzy ideał nowy. Oto przegląd całego szeregu, a właściwie jednego ideału w rozlicznych interpretacjach u przedstawicieli „Młodych Włoch” XIII w.

Kobieta, którą opiewa Lupo Giani, to madonna, pani potęg nadnaturalnych; ten, kogo ona pozdrowi skinieniem głowy, uszczęśliwionym już jest na zawsze:

Uszczęśliwionym — pozdrowiony przezeń... Ideał Dina jest cnotą samą, niszczy grzech, a pozdrowienie jego to fakt nadzwyczajnej wagi.

Kobiety tak opiewane tchną nadziejskością, realności w nich na razie prawie zauważyć niepodobna, kobiety te są wprost madonnizowane: na miejscu ciała widzi się tylko dwoje oczu, po za którymi biją skrzydła anioła, a tłem — niebo lazurowe, złotemi usiane

gwiazdami. Kobieta została tu zredukowana do ekspresji, przyczem nie ważono się jej pożądać, ledwie ośmielano się kochać i kontemplować w niebiańskiej ekstazie. Wprawdzie realność kobiety była podstawą tego mistycznego gmachu, lecz realność ta została wyidealizowaną aż do pogardy analizy, która mogłaby tu odszukać ślady ścieżek możliwości. Nowa szkoła florencka to zresztą mimo wszystko dopiero zaczątek ubóstwienia kobiety, zaczątek, który zenitem się stanie przy Dantem i rozciągnie swe obszary do pojęcia „Beatryczy”. Dante jednak w przeciwstawieniu do poprzedników będzie się starał zostawić swemu ideałowi kilka bodaj cech realności.

Z Lapo Gianni’em i towarzyszymi jego miłość dąży aż do utraty swego charakteru zwykłego uczucia, aż do stania się modlitwą unoszącą się wwyż jak aromaty kadzidła na tronowi nowego bóstwa, bóstwa ukłonem uszczęśliwiającego swego wyznawcę, ascetę afektu, adorującego na klęczkach wśród wzdychań i łez

Anioła, który mówią, że zszedł ku nam
z niebios...

Dla Lapo degli Uberti cnota miłości jest darem nieba, łaską, która schodzi do serca godnego jej tylko człowieka:

Cnota miłości, to pani szlachetna,
Schodząca w swojej dobroci
W godne dla się ludzkie serce...

Przebiegając przez te kraje „nowej poezji”, widzi się, że oryginalność Dantego polega na włączeniu do miłości elementów prozy i na podcienianiu mistycznego tła romantycznymi pointe’ami.

Szkic „pani uanielonej”, rzuty idące przez utwory poetów nowego florenckiego stylu oświecającego przedoskonale istotę „Beatryczy” Dantego. Oto Giani Alfani, prawy poeta szkoły, mówi o swej kochance:

... gdy mi główką skinęła:
„Witaj!”, — serce mi wzięła,
I już nigdy nie odda go, nigdy...

Wiecznie też powraca on do owego pierwszego pozdrowienia donny, przy samem wspomnieniu o tem, mieni się twarz kochanka. Ma ów ukłon wszystkie cechy teroru miłosnego, znamionującego całą szkołę:

Gdy ją raz pierwszy ujrzały źrenice,
Sciągnęły na się jej ócz błyskawice,
A z nich miłości skry przeszyły serce, —
I dusza moja porażona
O niczem więcej już odtąd nie marzy,
Tylko, by uczuć znów jej oczy na swej twarzy... *)

A „ona” błyszczą

W promieniach świetlnych nad nią zawieszonych...
Zmieniając poetę, nie zmieniamy zgoła tematu,
Oto Guido Cavalcanti, ów poeta metafizyki i scholastyki miłosnej. I jego ideał podobny jest do ideału Lapo lub Cino, czy wreszcie Dantego. Guido zaledwie ośmiela się opiewać swą idealną kochankę:

Opiewać ją słowami bezsilnemi?!
Płomieniejącą tak wdziękami przepiękności,
Że znieść widoku jej nie mógłby nikt na ziemi!

Samo jej spojrzenie precz żenie wszelkie zło, ona — zjawiskiem, ona — wizją nadnaturalną i opanowującą; wiersz o niej promienieje jak ona sama:

Kto ona? ten wszecud? jak od anioła *)
Blaskiem się od niej powietrze rozpromienia,
Miłość jest z nią, a piękność jej onienia, —
Westchnienie tylko słyhać dookoła...

„Ona” przechodzi swym wdziękiem wszelkie pięk-

*) Przekłady autora.

*) Podajemy przekład dosłowny, zachowując pierwotną formę oryginału.

no naturalne czy artystyczne, w jakiegokolwiek natchnione strofy nie transponowałyby poeta swej ekstazy. Guido, można rzec, odkrył prawie wszystko w tym zakresie, co Dante będzie chciał mieć tylko dla siebie. Oto naprz., przepiękne porównanie damy bielszej nad śnieg padający w cichym powietrzu:

Przezyste niebo w jutrzence porannej,
I biały śnieg zapadający w ciszę...
Traci swój czar wobec piękności
Mej pani...

W utworach Guida znajdujemy tę samą kreację co u Dantego: wtopioną w blaski, zabłąkaną jak gwiazda w jasnym firmamencie, a przez tajemniczość swą rozlewającą wokół zdziwienie i przestרח. Poeta płacze przy jej niewysłowionym widoku:

Łzy z głębi serca mego płyną...

Nie śmie jej spojrzeć wprost w twarz, wzrok jej jest straszny, uderza śmiertelnie, ona by nie ścierpiała podobnej śmiałości:

... nie w mocy pojąć duch, by na mą panią,
By człek śmiertelny śmiał oczy wzniesić na nią
Ja gdybym spojżał.. gdyby... padłbym trupem!
Mistrz Dantego, Brunetto Latini wyraża się nieinaczej:

Jak gąszcz porywem wichru szarpany,
Dygocę cały, gdy ciebie zobaczę...

Toż i Matteo de Messina, który drży przy samej myśli o piękności swej damy:

Jeśli pomyślę o twej piękności,
Już strachem miłość k'tobie mnie napawa...

Dla Guidona della Colonna dama jego jest Matką Boską, zbawicielką burzą miotanych okrętów, to Stella maris. By się ośmielić tylko spojrzeć na nią trzeba dla Neffo d'Oltrano olbrzymiej odwagi. Bartolommeo Maconi ślubuje swej pani posłuszeństwo bezwzględne, a stary Rainieri de Palermo głosi, że człowiek, którego miłość nie zmusza do drżenia z trwogi nie jest prawdziwie zakochany:

Człowiek trwogę czujący
Zda się byś zakochanym...
Miłość trwogę czująca
Jest dopiero miłością prawdziwą.

(dok. nast.) Kazimierz Wroczyński.

Z CYKLU: WIERSZE MUZYCZNE.

INTERMEZZO GWAŁTOWNE.

Pomnijcie: wiersze to estetów karm!
(Sztuka jest zawsze trochę kulinarna)
Dajcie im tedy smak pewien, woń, charme;
Niech będą dzikie. Owszem. Lecz jak sarna

Niech będą kruche. Dobrze, że wasz stych
Nurzacie długo w własnej zółci occie.
Czyńcie to. Owszem. Ale w wąpiach swych,
Natomiast przasne tylko wiersze płódzcie.

Tę woń wnetliwą, a mdlącą przez pót,
Aromę dziczy, lepiej nadać zdoła
Pot waszym wierszom; skropcie-ż potem z czół
Jel! Dużo potu i nietylko z czoła!

Rzecz główna — forma! Którą z starych blach
Weż jeden z drugim z sąsiedniej garkuchni
Ochędź, pucuj, pracuj — chwyc w garść łach,
Pluń, natrzyj, wytrzyj, potysk daj a chuchnij,

I wsadź się w formę. Tak wykażesz gust,
Brawo-ć ozorem smakosze z kunstsztuli
Klasną. Im będzie biedz ślina do ust,
Gdy-ć ujrzą.

Że zaś inni będą pluli?...

Bruno Winawer.

KRYTYKA i SPRAWOZDANIA.

T A I F U N.

(dokończenie).

III.

Tokeramo został przyjęty gościnnie przez starą Europę i zabrał się sumiennie do pracy wraz z całym zastępem swych rodaków. Oni wszyscy pozostali duchem w Japonji: każda myśl, każde uczucie — całe ich życie wewnętrzne jest służbą dalekiej ojczyźnie. Ci ludzie z dramatu Lengyel'a osiągnęli ów ideał, do którego dąży Sułkowski Żeromskiego: każdy z nich wykuwa nieustannie w sercu własnem spiżowy kształt ojczyzny. Wcieliła się ona w miliony dusz, nie rozdrabniając się jednak — przeciwnie, ta wielorakość poszczególnych światów indywidualnych łączy się harmonijnie w jedną całość potężnej, niezwalczonej siły, zmierzającej zgodnie do celu uszczęśliwienia narodu.

Cel ten, to potężne chcenie, ta niewzruszona wola, skupiona w dążeniu idealnem, nadosobistem, czyni, że garstka cichych, spokojnych japończyków przerasta społeczność europejską. Wszyscy występujący w dramacie europejczycy wydają się mali i niezaradni wobec tych przybyszów o żółtej cerze, poruszających się niezgrabnie w odzieży, do której nie mogą przywyknąć. Poziomość dążeń osobistych lub neurasteniczne, perwersyjne przerafinowanie, czy nawet ścisłe myślenie wyszkolonych zawodowo mózgów albo spryt wytrawnego fagasa — nie mogą ostać się wobec mądrze i przebiegle zorganizowanej, świadomej swych celów działalności wysłańców japońskich. Przynoszą oni z sobą ogromną wolę do uzyskania potęgi, przybawają tylko po to, aby podpatrzeć środki, któremi ją najłatwiej zdobyć można. A europejczycy sami oddają się im w ręce, gdyż nie posiadają już wartości duchowych, które możnaby przeciwstawić uświadomieniu patryjotycznemu Japończyków.

Prof. Dupont poświęcił 30 lat swego życia pracy nad wielkiem dziełem naukowym (prawdopodobnie z dziedziny nauk społecznych). Ponieważ jeden rozdział tej pracy traktuje o Japonji, profesor — żądny uznania i pochwał rękopis pożyczyl do przejrzania Tokeramo. Ten nie tylko przestudjował go dokładnie, ale dał też możność zapoznania się z nim swym rodakom. I oto po wyjściu nadętego profesora, który z rozkoszą tuczonego indyka łykał gałki komplementów japońskich, oni stwierdzają z zadowoleniem i z pogardą zarazem, że przyswoili sobie w parę dni owoce tej trzydziestoletniej pracy. Tokeramo mówi: „Oto jedyna tajemnica naszego postępu: należy wyszukiwać mądrość świata. Wspaniała kultura europejska! pokolenia za pokoleniami zeszyły ze świata, męczennicy szli na ofiarę, zanim został osiągnięty jej stan obecny. A nam było dane przejąć od nich wszystko, co mają wartościowego, w przeciągu piętnastu lat.” A Yoshikawa odpowiada: „Niechaj więc myślą, niechaj pracują. Gdy uda im się nareszcie wymyśleć coś mądrego, już my im to odbierzemy.”

Dupont przyprowadził z sobą człowieka, który również interesuje się Japonją, ale w inny sposób.

Ten Renard-Beński, utalentowany neurastenik, szuka na dalekim Wschodzie „nowych dreszczów” dla swej twórczości. Wszystkie tematy są już wyczerpane, wszystko już było w literaturze — głodna wrażeń publiczność pożąda codzien świeżej nowości. Egzotyckość stała się modną, więc wydawcy sownie za nią płacą. Renard-Beński, cynik literacki, kwiatek kawiarz, żądny alkoholu, o postrzępionych nerwach, buntuje się szczerkawym odruchem lepszej części swojej natury przeciw wszechwładzy mody. I znalazłszy się w obliczu poważnych, przyjaźnie a zdawkowo uśmiechniętych Japończyków, daje aż nazbyt silny wyraz swej niechęci. Obawia się dążeń zaborczych, ukrytych pod maską spokojnego zdobywania wiedzy, podejrzewa Japończyków o złe zamysły względem Europy, nie wierzy w ich cnoty i mówi z pogardą o ich męstwie. Japończycy słuchają w skupionym milczeniu i uśmiechają się uprzejmie. Dupont natomiast protestuje, i wszczyna się zaciekły spór między dwoma Europejczykami. Wreszcie Tokerammo zwraca uwagę na to, iż za pomocą klótni nie można pchnąć świata naprzód.

Renard-Beński. Cóż mnie może obchodzić świat?

Tokerammo. Więc coż pana obchodzi? Pańscy współpracownicy?

Renard Beński. Gwiżdżę na nich.

Tokerammo. A więc Bóg?

Renard-Beński. Z nim jestem oddawna w złych stosunkach.

Tokerammo. Więc może pan sam?

Renard-Beński. Brzydzą się sobą—nie wart jestem jednego naboju.

Tokerammo. Przepraszam pana, tak, to co innego. Jeśli pan ma takie zdanie o swej ojczyźnie, o swym Bogu, nawet o sobie samym—to niepodobieństwem jest wymagać od pana, abyś był lepszego mniemania o Japonji.

To jest mowa młodzieńca, pełnego wiary i chęci do czynu—przy łożu paralityka, który żyje resztką instynktu samozachowania.

IV.

Główny cel odwiedzin Renarda u Tokerammo jest zgoła odmiennego rodzaju. Ma on kochankę, z którą pragnie się ożenić, a którą podejrzewa o stosunek erotyczny z jakimś Japończykiem. W zamiarze wykrycia swego rywala zapoznaje się z towarzyszem japońskim. Ale musi się oddalić, nie dowiedziawszy się niczego.

Helena jest istotnie kochanką przywódcy duchowego Japończyków zgromadzonych w Paryżu—Tokerammo. Ją popycha do tego stosunku urok egzotycznej nowości i jak wyznaje sama, pewien niezwykle, a drażniący zmysły zapach jego skóry, a jego — naturalny instynkt zdrowego mężczyzny i ten odcień pobłażliwego uczucia, jaki nas łączy z ulubioną zabawką. Helena stanowi kobiecy odpowiednik typu: Renard-Beński. Żyje tylko nerwami. Stałe, głębokie uczucie jest dla niej równie niedostępne jak dla Renarda prawdziwa twórczość. Tem nie mniej męczy ją szalona potrzeba miłości i goni za nią po świecie, przechodząc od jednego mężczyzny do drugiego.

Stosunek z Tokerammo pochłania ją bardziej niż inne, gdyż odczuwa wyraźnie, że nad tym mężczyzną nie uda się jej zapanować. Tokerammo nie mówi jej nigdy o sobie (jak to czynią inni—nawet nieproszeni, np. Renard), nie obnaża nigdy swego ducha—a tego współczesna kobieta znieść nie może. Jest chwila, gdy niezwykle słabość opanowuje Japończyka, i poczyną rozpowiadać Helenie o sobie i swych dążeniach życiowych, ale przedwczesny zwycięski okrzyk Heleny: „Nareszcie, nareszcie jesteś w mojej mocy!” przecina odrazu tę słabo zadzierzgniętą nić wynurzeń...

Tokerammo przekonywa się, że Helena kradła mu z biurki papiery i zanosila je Renardowi, który w swej niewinności rzucał je w ogień. Postanawia natychmiast zerwać z nią stosunek. Ale dopiero gdy wypowiedział już słowo stanowcze, poczyną rozumieć, że on tę kobietę kocha. I oto niewzruszona wola mężczyzny i ideowca kruszy się jak sucha glina. Ten spokojny, potężny człowiek czynu, zamiast wypędzić złą i przewrotną kobietę, żebrze o jej miłość. Chwila, wymarzona przez Helenę oddawna, nadeszła. Wola teraz w tryumfie „Nareszcie cierpisz i ty!..“ Zwyciężyła! I w porywie ohydnej zemsty historyczki wyznaje mu, że kłamała mu uczucie, że przez cały czas była kochanką innego... I obrzuca go stekiem plugawych obelg.

Tokerammo zabija Helenę.

Japończycy postanawiają, że zabójca musi być uratowany. On jest najważniejszą osobą w kolonji japońskiej w Paryżu; w nim pokłada ojczyzna największe nadzieje, dzieło, które opracowuje, musi być ukończone. Rozpoczyna się turniej wiernych synów Japonji: każdy chce wziąć na siebie winę Tokerammo. Wreszcie zostaje wybrany jeden z nich: najmłodszy, dziecko-bohater, potomek Filotasa z ducha. Hironari zgłasza się do władz jako zabójca Heleny.

Pomimo nieprzewidywanych trudności, które piętrzą się podczas rozprawy sądowej, wyborna organizacja Japończyków zwycięża. Nawet przyznanie się do winy złamanego na duchu Tokerammo umięją wykorzystać dla swego celu.

Hironari zostaje skazany, a Tokerammo powraca do swej pracy. Ale jest to już teraz inny człowiek. Zarazek słabości europejskiej przyjął się w jego zdrowej duszy. Rozpoczęte dzieło zostaje wprawdzie ukończone—ale ceną jego staje się życie ludzkie. Tokerammo umiera nad ukończonym rękopisem.

I cała różnica już nie tylko dwóch kultur czy światopoglądów, ale dwóch zgoła odmiennych światów ducha, wypowiada się w końcowych słowach dialogu:

Renard-Beński. Boże, Boże! On umiera! To okropne!

Kobayashi (z uśmiechem). Dlaczego okropne? Śmierć nie jest okropna. Kto się urodził, musi umrzeć. Wszyscy musimy umrzeć. To już tak jest—i to jest nieważne... życie jest ważne i obowiązek...

J. M. Muszkowski.

HUGUES REBELL.

(Przekład ze studjów Remy de Gourmont'a „Le livre des masques”).

Niektórzy ludzie rzadko kiedy są w zgodzie ze swym czasem; nigdy prawie nie żyją życiem pospółstwa, dusza tłumu nie wydaje im się zgoła wyższą od duszy stadnych zwierząt.

Gdy ktoś z tych ludzi wskutek wewnętrznych rozmyślań nad sobą, dochodzi wreszcie do zrozumienia siebie samego i umiejscowienia swego „ja” na szerokim świecie, niezawodnie staje się wtedy smutnym, gdyż czuje wkoło siebie nieprzewycięzoną przestrzeń obojętności, — widzi niemą przyrodę, głupie, indyferentyczne głązy i giesty geometryczne, co możnaby śmiało określić jako jedno wielkie pustkowie — socjalne. W czterech zazwyczaj ścianach swej nudy samotniczej marzy jednak taki człowiek o tej prostej, nieskomplikowanej rozkoszy wewnętrznej—być w zgodzie z sobą, śmiać się jak dziecię, lub uśmiechać się dyskretnie, tajemniczo — doznawać wzruszeń życiowych, będących udziałem każdego stworzenia na ziemi.

Hugues Rebell¹⁾ przybrał wobec świata odmienną niż inni samotnicy podstawę—przedstawia się nam jako szczęśliwy arystokrata.

W czasach, gdy karłowaci plagiatorowie filozofa Seneki—agenci wymiany, pokątni doradcy, ambasadorowie, kapitaliści, bankierzy, ministrzy, tenorzy, właścicielki pracowni kapeluszy damskich i cała republikańska szlachta, żadna użycia, rozczuła się nad losem prostaczków, rzucając im pod nogi kamienie, przyjemnie brzmią te szczerze słowa Rebella: „Pragnę weselić się z życia, jakie otrzymałem stosownie do piękna, wolności, przepychu i elegancji, które ono zawiera; jestem arystokratą”.

Nie znaczy to, by nieczyły na dotkliwości i cierpienia przyrodzone, Rebell pogardzał ludem (jak typ burżuazja, który nienawidzi—ponad siebie i pogardza—pod sobą) on go nawet kocha, miłością jednak zbyt rozumną i niedostępną dla pojęć gminu. Biednemu, chylącemu się ku upadkowi światu, ochoczo głosiłby radosną nowinę pozostania dzielnym zwierzęciem. Na cóż bowiem wzbudzać i rozniecać pożądania wyższych rozkoszy intelektualnych w ptasich mózdkach?—gwoździemu preparować wonne olejki poetyczne, które mi nie rozgrzeje republikańskich jelit. „Obecnym przymus obowiązkami jest leczyć chore winnice i zająć się gorliwie replantacją zniszczonych—by następnie upoić całą Francję” — „zamknąć muzea i księgozbiory, pozbawić urny wyborcze, które przez szereg lat uczyniły dostępnymi dla wszelkiej kategorii nicponiów myśli wielkich ludzi”.

Arystokracja Rebella przeniesiona do dzieł wyobraźni, przechodzi w specjalnego rodzaju obskurantyzm literacki, chętnie mu zawsze w tym wypadku towarzyszy pewne rozluźnienie obyczajowe. — Nie zostało jeszcze dostatecznie stwierdzonym, by dandyzm w swych wielorakich przejawach w sztuce i życiu był szczęśliwym wyrazem pogardy konwensansów społecznych; opór rozpustnego kardynała znałogowionemu homoseksualiście kapucynowi nie jest chyba wymowną demonstracją wyższości arystokraty nad parobkiem, wszak nie każdy chepliwy i histeryczny malarz nasuwa nam na myśl Tycjana lub Veroneza i nie każda hetera z zaułków wielkomiemiejskich wywołuje w nas zachwycające obrazy weneckiej lubieży. Wiele też poważnych braków i ordynarności pisarskich zawiera w sobie owa *Nichina*, która wyniosła na światło dzienne nazwisko swego autora — jest to jednak utwór żywy, rozweselający i bogaty treścią. Widzimy w nim Wenecję zabobonną i lubieżną; opływającą w dostatki i ubogą zarazem — bliższą niewątpliwie historii niżli legendy — dla tego też niektórzy zostali, jak się mówi, zgorznięci.

Nichina jest zresztą zaledwie prologiem Rebella romansopisarza. Otworzyć za to jego *Pieśni słotne i słoneczne* jest to dostać się do obfitej kopalni, skąd czerpać można istotne piękno życiowe. Są to poematy wierszem i prozą, gdzie pisarską troskę o wyrażenia poprzedza zawsze twórcza wola powiedzenia czegoś nowego, niezwykłego. Tematem zasadniczym tych poematów jest radość życia—byt wolnego, dumnego człowieka, który marzy o zadowoleniu swych potrzeb naturalnych, wielbi piękno, wchłaniając w siebie możliwe rozkosze zmysłowe i intelektualne, czyni to nawet z jakimś wściekłym anarchistycznym pędem skrajnego immoralisty.

Książka to niespokojna, która wywiera wrażenie wielkiego dworca kolejowego, pełnego lokomotyw,

¹⁾ Bibliografja:—*Les Jedis Saints* (1886)—*Les Méprisants* (1886)—*Timandra* (1887)—*Les Etourdissements* (1888)—*Athètes et Psychologues* (1890)—*Baisers d'ennemis* (1892)—*Chants de la pluie et du soleil* (1894)—*Le magasin d'Auréoles* (1896)—*La Nichina* (1897)—*La Clef de Saint Pierre* (1897)—*La femme qui a connu l'Empereur* (1898).

krzyku i gwaru podróznich—książka istotnie przepelniona myślami, gdzie natura pijana szałem rozrodczym ukwieca się w piękne róże i zieleń majową. Autor porywa nas swym lotnym umysłem i śmiałą wyobraźnią. Rebell należy do kategorii tych którzy przekładają piękno nad cnotę, olśniewający blask nagiej Venus „nad karawaniarską fizjonomję bladej Dziewicości”.

Rebell jest arystokratą i poganinem.

tłumaczył A. Nowacki.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Zeszyty *Encyklopedji Ludowej*:

Wacław Natkowski. Geografia Ogólna.

Stanisław Krauz: O budowie i czynnościach ciała ludzkiego.

Stefan Boguszewski: Ogólne zasady hodowli.

Kazimierz Wróblewski: Rolnictwo.

Otto Weininger: Płeć i charakter. Przełożył Ostap Ortwin. Nakładem Ludwika Fiszer. — Łódź—Warszawa.

Edw. Grabowski: Wolności obywatelskie w państwie rosyjskiem—odbitka z „Gazety Sądowej”.

Książki dla wszystkich: (Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie):

N. Gąsiorowska: Historia zakonów w Polsce.

T. Grabowski: Juliusz Słowacki (część III) (jego życie i charakter).

Al. Ar. Fryderyk Chopin (jego życie i dzieła).

W. G. Prawidła pogody.

J. W. O języku ludzkim i jego rozwoju.

M. Lermontow: Demon. Przekład M. M. B. Poznańskiego.

Włodzimierz Stulewski: Zarys historii handlu w Polsce.

P. Ledoux: 50 lekcji przygotowawczych z nauk przyrodniczych cz. I. Wydawnictwo M. Arcta.

Jan Stella-Sawicki: Dusza roślinna. „ „ „

Marja Wydzga: Krótki zarys początkowego nauczania „ „ „

Jednodniówka z okazji wycieczki Drukarzy Warszawskich do Milanówka.

Święta wiosny: Wydawnictwo Tow. Miłośników Przyrody.

Kursy pedagogiczne dla kobiet pod kierunkiem Jana Miłkowskiego. (Program wykładanych przedmiotów i organizacja kursów).

KRONIKA.

Zajścia w uniwersytecie lwowskim. We czwartek studenci ruscy odbyli podobno poufne zgromadzenie, na którym przemawiał prezes komitetu, Zamora, przyjaciel Syczyńskiego, i na którym obmyślali szczegóły kampanji dnia następnego. Postanowiono podobno sprowokować młodzież urządzeniem wiecu ukraińskiego w największej sali uniwersytetu, i równocześnie zmobilizowano także studentów ruskich z prowincji, wzywając ich telegraficznie do Lwowa. Wysłano ogółem około 300 depeesz, co zwróciło uwagę policji, skonsygnowanej zresztą już od rana i przygotowanej do interwencji na wypadek jakichś zamieszek. Rusini już od godz. 7-ej rano poczęli się gromadzić w uniwersytecie, po godzinie 8-ej liczba ich wzrosła do kilkuset. Studentkom, które znajdowały się w gmachu uniwersytetu, polecono go opuścić, równocześnie zaś słuchacze obsadzili salę № 3 i rozpoczęli obrady wiecowe. Pedelów, usiłujących prze-

szkodzić zajęciu sali, wyrzucono i poturbowano. Głównym mówcą na wiecu był prezes związku ukraińskiego. Wygłosił on mowę przeciw Polakom, podczas której wznoszono okrzyki: „Hańba rektorowi”, „Hańba senatowi”. Po skończeniu mowy zebrani zaintonowali chórem „Ne pora”. Podniecenie wzrastało z każdą chwilą, wkrótce rozpoczęto łamanie ławek i sprzętów na sali. Studentów polskich, według opinii dzienników, było w gmachu bardzo niewiele, zaledwie 20 do 30. Demonstranci ruscy byli uzbrojeni w drągi, wydarte ze sztchet, kute kije, brauningi i t. p. Nagle rozeszła się wieść, że Rusini ruszyli na kancelarię uniwersytetu. Woźni z pomocą słuchaczy polskich zaczęli szybko wznosić barykady z ławek i stołów. To dało hasło Rusinom do ataku. Rozległy się strzały rewolwerowe. Kilku studentów i woźnych odniosło rany. Jeden z Rusinów, wysunawszy się na czoło walczących, został śmiertelnie ugodzony przez swoich towarzyszy i w kilka godzin potem życie zakończył. Liczba rannych wynosi 9, w tem 6 studentów i 3 woźnych uniwersyteckich. Poczyniono aresztowania. Odesłano 130 do więzienia, zaś 40 seminarzystów rusińskich, przebranych po cywilnemu, wypuszczono za wstawieniem rektora seminarjum. Prócz tego aresztowano także kilka innych osób, które były obecne w gmachu i pomagały w zamieszkach. Wykłady na uniwersytecie, zawieszane w piątek, najpewniej w bieżącym półroczu nie będą podjęte, wszystkie bowiem miejsca, gdzie padły strzały, opieczętowano i obwiązano sznurami do czasu przybycia komisji administracyjnej z Wiednia, której oczekują w tych dniach. Komisja ma przeprowadzić szczegółowe badania, a przede wszystkim stwierdzić, czy padły strzały z miejsc, gdzie znajdowali się Polacy. Egzamina odbywają się dalej.

— **Samobójstwa wśród dzieci.** Dzienniki petersburskie podają zestawienie cyfr, dotyczących liczby samobójstw wśród młodzieży szkół średnich. Dane zebrane zostały w okresie lat 1905—1906 z polecenia ministra oświaty. Otóż choroby nerwowe i psychiczne stanowią 27% samobójstw, przyczyny

niewyjaśnione 23,3%, samobójstwa z powodu przejść w szkole i powody rodzinne 28,4%, powody natury erotycznej 11%. Wśród chłopców najczęściej notowane są choroby psychiczne, przyczyny rodzinne, oraz erotyczne, — wśród dziewcząt — szkolne, pedagogiczne, oraz rodzinne. Ciekawy jest związek pomiędzy wypadkami samobójstw wśród dzieci i wypadkami z życia politycznego. W Petersburgu stosunek ten przedstawia się podług cyfr poniższych: w roku 1903 w przededniu rewolucji 113, w 1904 r. przedwstępny okres rewolucji 70, w 1905 r. — okres rewolucyjny 46, w r. 1906 okres względnego uspokojenia 77, w 1907 r. okres stopniowego zamierania ruchu 151, w r. 1908 w pierwszej połowie, kiedy życie społeczne zostało zdławione zupełnie 58, zaś w trzecim kwartale tegoż roku — 59.

— **Wskutek starań** zostali ulaskawieni z rozkazu Monarchy p. p. M. Niklewicz, redaktor „Przeglądu Narodowego” i Zygmunt Balicki, kierownik literacki tegoż czasopisma, skazani w swoim czasie na więzienie za wykroczenie prasowe.

— **Zmarł w Warszawie** Kazimierz Kaszewski, sędziwy literat, zasłużony tłumacz i krytyk.

Z Towarzystwa ochrony kobiet. Na wystawie pracy kobiet wypowiedział dr. Biro odczyt, w którym dał wyraz poglądom Tow. na pracę zawodową kobiet. Prelegent stwierdził fakt, iż główną przyczyną prostytucji jest niedostatek materialny, gdyż tylko nieznaczny odsetek nierządnic zostaje popchnięty na tę drogę przez zwyrodnienie organiczne. Wynika stąd, że środkiem zwalczania prostytucji jest przygotowanie jaknajwiększej rzeszy kobiet do samodzielnej pracy zarobkowej — i w tym też kierunku zwracają się nadewszystko wysiłki Tow. ochrony kobiet. Dla polepszenia warunków pracy niezbędną jest jej organizacja, zrzeszenie wysiłków kobiet pracujących. Z tego względu Tow. wzięło udział w wystawie pracy kobiet, chociaż ma świadomość, że rezultaty tymczasowe mogą uchodzić dopiero za zapoczątkowanie. W zakończeniu zwraca się dr. Biro o poparcie do jaknajszerszych warstw społeczeństwa.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają

PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę, katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwonej etykiecie z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

MACZKA
NESTLÉ
MLECZNA

Idealny pokarm
dla niemowląt
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.



Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

ŚLYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najślynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłką za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.



Milanówek,

st. dr. żel. W. W.

Do wynajęcia lokale 1-o, 2 u i 3-y pokojowe z kuchniami i werendami.

Na warunkach przystępnych — całodzienne urzymanie, obiady.

Wiadomość w Administracji „SPOŁECZENSTWA”
ul. Wielka 1-a.